

ISSN 2719-6941

SWARZĘDZKIE ZAPISKI

CZASOPISMO REGIONALNE



Numer 3

Rok 2021

SPIS TREŚCI

PRZED LATY	1
W SWARZĘDZKIM CENTRUM HISTORII I SZTUKI	2
Muszle i kamienie z Nesseberu – wystawa prac Marii Łbik	2
Sto lat swarzędzkiego sportu – wystawa w 100-lecie Unii Swarzędz	3
Z historii Fabryki Armatur	3
LUDZKI LOS	4
Przez życie	4
Beczka	6
WPISANI W HISTORIĘ MIASTA – SWARZĘDZKIE SZKOLNICTWO	
WE WSPOMNIENIACH	7
Maria Kaczmarekiewicz – biogram	7
Wspomnienie Marii Kaczmarekiewicz o tajnym nauczaniu w okresie okupacji	8
Cykl wspomnień o Marii Kaczmarekiewicz:	9
Nauczycielka z pasją – wspomnienie Marka Stanisławskiego o Teresie Niemyt z d. Lehmann	12
Początki szkolnictwa zawodowego w Swarzędzu po II wojnie światowej – Marek Stanisławski	14
Jak my się ruskiego uczyli – Marek Stanisławski	16
LUDZKI LOS	17
Mój pierwszy mecz i Unia Swarzędz – Zofia Łażewska	17
Swarzędzki latarnik – Marek Stanisławski	19

Wydawca:

Swarzędzkie Centrum Historii i Sztuki
 ul. Bramkowa 6, 62-020 Swarzędz

Biblioteka Publiczna w Swarzędzu
 os. Czwartaków 1, 62-020 Swarzędz

Adres redakcji:

e-mail: biblio@biblioteka.swarzedz.pl,
 administracja@muzeum-swarzedz.pl

Redakcja:

Hanna Jałocha, Renata Czarnecka-Pyła,
 Aurelia Bartoszek, Magdalena Kozłowska

Na okładce: xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx
 fot. xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx

Skład, druk i oprawa:

VEGA Studio Adv., www.grupavega.pl

ISSN: 2719-6941

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, nie zwraca nadesłanych materiałów, nie ponosi jednocześnie odpowiedzialności za błędy merytoryczne i językowe w nadesłanych tekstach. Przedruk i kopiowanie materiałów tylko za pisemną zgodą redakcji.

INFORMACJE DLA AUTORÓW

- 1) Materiały do publikacji powinny być złożone w redakcji w postaci pliku tekstowego w formacie Word (doc lub docx) czcionką 12 pkt najlepiej Times New Roman.
- 2) Teksty nie powinny przekraczać 40 tys. znaków ze spacjami, tj. 8 stron formatu A4 lub 16 stron formatu A5, a przypisy do tekstu znajdować się na końcu strony.
- 3) Redakcja ma prawo skracania oraz zmian w tekstach.
- 4) Materiały nie powinny być wcześniej publikowane. Redakcja nie ma obowiązku drukowania tekstów, które nie były wcześniej zamówione.
- 5) Materiały ilustracyjne powinny być w miarę możliwości dostarczone w plikach graficznych jpg o rozdzielczości 300 DPI. Każda proponowana ilustracja powinna być opatrzona tytułem oraz nazwiskiem i adresem autora lub właściciela praw autorskich.
- 6) Autor tekstu powinien złożyć w redakcji oświadczenie o zgodzie na publikowanie tekstu i materiałów uzupełniających.

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy, w jesiennym numerze naszych zapisków dominują dwa tematy: wspomnienia wojenne i szkolnictwo. Zapraszamy do lektury i, jak zwykle, dzielenia się swoimi wspomnieniami. W kolejnym numerze planujemy opisać losy swarzędzkich przesiedleńców.



...

PRZED LATY...

Z „Kroniki Cechu Stolarzy Swarzędzkich” Sylwestra Rychlewskiego

1 września 1939 roku

Wybuch II Wojny Światowej.

Wczesnym rankiem 1 września Niemcy Hitlerowskie napadają na Polskę. Armia Polska dzielnie stawia opór i bohatersko broni Ojczyzny, wstrzymując napór wroga. Mimo bohaterstwa nie udało się powstrzymać uzbrojonego po zęby i wiele liczniejszego wroga. (...)

Następuje okupacja Polski. Rozpoczęła się gehenna narodu polskiego. Niestety nie ominęło mieszkańców Swarzędza. (...)

Aby ratować życie, część stolarzy uciekła przed okupantem ukrywając się. Część z tych, którzy pozostali na miejscu aresztowano i wywieziono na Fort VII do Poznania, po przesłuchaniu w Domu Żołnierza, który to gestapo upatrzyło sobie jako swą siedzibę.

W Forcie VII, po wielkich męczarniach, część aresztowanych zginęła, innych wysłano do obozów koncentracyjnych w Buchenwaldzie, Gross Rosen, Mathausen-Gusen.

Październik 1939 roku

Gestapo aresztuje Starszego Cechu, Mistrza Stolarskiego Mariana Nurkowskiego. Po przesłuchaniu w Ratuszu swarzędzkim, zabierając wszystkie dokumenty cechowe, które zginęły bezpowrotnie.

Mariana Nurkowskiego wywożą do Poznania (...) i od tej pory ślad po nim zaginął. (...)

Ten sam los spotkał Stanisława Kwaśniewskiego, mistrza stolarskiego, Powstańca Wielkopolskiego. (...) O jego patriotyzmie wiedzieli gestapo, toteż srodze się z nim rozprawiali zadając mu długie męczarnie, doprowadzając do śmierci męczeńskiej.

Gestapo nie oszczędziło Burmistrza Swarzędza, bardzo znanego człowieka, Tadeusza Staniewskiego, którego, po różnych szykanach na Forcie VII, wywieziono do obozu w Buchenwald. (...)

Listopad 1939 roku

Trudno było pogodzić się z losem jaki spadł na naród Polski, a zwłaszcza wśród młodych.

Oni też podjęli działalność konspiracyjną. Niestety nie na długo. Gestapo wykrywało w krótkim czasie działalność młodych Polaków. Następują aresztowania, wywóz do obozów koncentracyjnych.(...)

Grudzień 1939 roku

Czwarty miesiąc okrutnej okupacji, który przeszkodził rzemiosłu swarzędzkiemu w realizacji wielu przedtem poczynionych zamierzeń w rozwoju stolarstwa swarzędzkiego. Od początku wojny do chwili obecnej warsztaty stolarskie są nieczynne. (...)

...

W SWARZĘDZKIM CENTRUM HISTORII I SZTUKI

„Muszle i kamienie Nesseberu z 1988 r.”

8 lipca w Swarzędzkim Centrum Historii i Sztuki zabrzmiał szum morskich fal i zapachniało wakacjami. Prawdziwie letnich emocji dostarczył gościom wernisaż wystawy autorstwa Marii Łbik. Pani Maria, malarka z Gruszczyzna, zaprezentowała swoje prace wykonane z oryginalnych materiałów, którymi są muszle i kamienie przywiezione przez nią z wakacji w Bułgarii w 1988 roku. W muzealnych gablotach znalazły swoje miejsce również kamienie z nadbałtyckich plaż oraz muszle z różnych stron świata. Z czarnomorskich pamiątek powstały niezwykle trójwymiarowe obrazy oraz przepiękna biżuteria, a wszystko to uzupełniły



fotografie przedstawiające starożytne bułgarskie miasteczko – Nesseber. Otwarcie wystawy było również okazją do promocji książki „Dawne i najnowsze czyli takie moje małe życiowe kroczki...” ukazującej dorobek artystyczny Marii Łbik.

Wśród licznie (jak na czasy pandemii) zgromadzonych gości znaleźli się rodzina i przyjaciele autorki, przedstawiciele Urzędu Miasta i Gminy Swarzędz oraz Biblioteki Miejskiej. Obecny był również prezes Wielkopolskiego Związku Artystów Plastyków, którego członkiem jest autorka, pan Antoni Rut.

Pani Maria opowiedziała o niezwykłym miejscu jakim jest miasteczko Nesseber oraz podzieliła się z gośćmi historią powstania dzieł z muszli i kamieni. Uroczystość przebiegła w niezwykle miłej atmosferze i zakończyła się poczęstunkiem w postaci ciastek domowego wypieku.

Hanna Jałocha



Autoportret z kamieni

Wkrada się niepokój wśród mieszkańców na skutek różnego rodzaju przypuszczeń, a i cichych przekazów o mających rozpocząć się z nowym rokiem wysiedleniach Polaków do Generalnej Guberni, że tam ma być obecnie 16 mln. Polaków. Natomiast Poznańskie jest tylko dla Niemców, bo to rzekomo ziemia niemiecka. Stąd słuszna obawa mieszkańców, którym jest trudno pojąć, czy jest możliwe, aby wypędzać ich z ojcowizny.

Są jednak również w większej mierze optymiści, że okupacja długo nie potrwa, że wojna się wnet skończy, i to podnosi na duchu.

100 lat swarzędzkiego sportu

„100 lat swarzędzkiego sportu” – tak brzmi tytuł wystawy, która została zorganizowana w Swarzędzkim Centrum Historii i Sztuki z okazji urodzin Klubu Sportowego Unia Swarzędz. W naszym muzeum zgromadzono i udostępniono mnóstwo archiwalnych fotografii, dyplomów, dokumentów, wycinków z prasy, a także stroje sportowe oraz trofea w postaci medali i pucharów. Niezwykła ekspozycja powstała dzięki wspólnym wysiłkom członków koła „Unia 100”, działaczy klubu Unia Swarzędz oraz pracowników SCHiS.



Burmistrz Marian Szkudlarek otwiera wystawę poświęconą stuleciu Unii

Wprawdzie sport w naszym mieście ma dłuższą historię (w 1904 roku założono gniazdo „Sokoła”), jednak tytuł wystawy nawiązuje do wydarzenia z 15 sierpnia 1921 roku, kiedy to kilku swarzędzkich zapaleńców postanowiło stworzyć klub sportowy. Urodzinowa



wystawa została otwarta 26 sierpnia w obecności pana Burmistrza Mariana Szkudlarka, prezesa klubu sportowego Unia Swarzędz – Jerzego Majerowicza oraz prezesa koła „Unia 100” – Wiesława Zaporowskiego. W uroczystości wzięli udział członkowie koła, byli zawodnicy klubu oraz miłośnicy sportu. Wystawa jest świetną lekcją historii, z którą ma okazję zapoznać się kolejne pokolenie Swarzędzan. Zwiedzać można ją do 2 października.

Hanna Jałocha

...

Z historii Fabryki Armatur

„Rok 1946 – w sierpniu powstaje myśl utworzenia zakładu metalowego w Swarzędzu (...) Upatrzonego teren w Swarzędzu przy ówczesnej ulicy Św. Marcin, położony między jeziorem



a ul. Cieszkowskiego. Przed okupacją właścicielem tego terenu był Niemiec Hoffmayer, a w czasie okupacji zajmował go niemiecki „Arbeitdienst”. Po okupacji gruntem tym dysponował Państwowy Fundusz Ziemi. Rozpoczęto starania o uzyskanie w/w terenu, na którym znajdowały się zdewastowane dwa baraki parterowe z muru pruskiego na ½ cegły o konstrukcji drewnianej. Państwowy Fundusz Ziemi wyraził zgodę na sprzedaż terenu o powierzchni około 2 ha wraz z budynkami nadającymi się jeszcze do naprawy i sporządził akt nadania ziemi poniemieckiej.

Wówczas zawiązała się spółka (...) z ograniczoną odpowiedzialnością pod nazwą:

Inż. M. Molicki – Zakład Metalowy – Swarzędz,
 ul. Św. Marcin telefon 157.

(Kronika Fabryki Armatur „Swarzędz”
 w Swarzędzu, rok 1946 – 1985)

Tak, według opisu z „Kroniki”, wyglądały początki Fabryki Armatur Swarzędz, która w tym roku obchodzi swoje 75 urodziny. Obecnie firma zatrudnia około 150 pracowników i mieści się przy ulicy Rabowickiej. Zdołała przetrwać liczne zmiany społeczne, gospodarcze i polityczne, a jej produkty zdobywają liczne certyfikaty i wyróżnienia.

W lipcu Swarzędzkie Centrum Historii i Sztuki wzbogaciło swe zbiory o sztandar Fabryki Armatur Swarzędz z 1986 roku oraz 7 tomów Kroniki opisującej lata 1946 – 1990. Cenne dla swarzędzkiej historii eksponaty przekazał



prezes zarządu fabryki – pan Grzegorz Meller. Bardzo cieszymy się z takiej inicjatywy i mamy nadzieję, że zachęci to kolejnych ofiarodawców do przekazywania pamiątek swarzędzkiemu muzeum.

Hanna Jałocha

...

ŁUDZKI ŁOS

Przez życie

Nazywam się Kazimiera Komosińska. Mojego ojca zamordowano w Twerze kilka dni temu. Tylko dlatego, że był polskim policjantem. W tej chwili o tym nie wiem. Mam na imię Kazia. Mam sześć lat.

Stoję w kącie naszego domu w Brodach, w powiecie tarnopolskim. Trzymam za rączkę młodszego brata, Zbyszka. Dom przeszukują Rosjanie. Mama siedzi na łóżku, z małym Adasiem przy piersi. Jeden z żołnierzy pakuje nasze rzeczy. Te najpotrzebniejsze. Pakuje też kożuchy. Po co? Jest wiosna. Chce nam coś powiedzieć, ale się boi. Urzędnik, który jest z nim ciągle krzyczy. Jest na nas zły. Nie wiem dlaczego, przecież byliśmy grzeczni. Tak, jak taka kazał.

Tatę zabrali jesienią. Przyszli o świcie, w mundurach, z bronią. Kazali zostawić wszystko i iść. Mama płakała. Tata ucałował nas na pożegnanie. Uśmiechnął się, ale w oczach miał smutek.



Kazimierz Komosiński

Tutaj nie mamy domu, takiego jak kiedyś. To bardziej lepianka, ciasna i ciemna. Okna są małe, jakby tutaj ludzie bali się światła. Wodę trzeba nosić w wiadrach. Miejskowe dzieci podchodzą do nas nieufnie. Ale w końcu bawimy się razem. Podobno powiedzieli im, że przyjadą przestępcy z Polski i mają trzymać się z daleka.

Na razie nie musimy chodzić do szkoły. Mama chodzi do pracy. Do takiego gospodarstwa, sowchozu. Przynosi nam mleko.

W Kazachstanie nie ma jesieni, tak mi się wydaje. Jednego dnia jest bardzo gorąco, a następnego jest mróz. Zimą, gdy mróz ściska w swych okowach nasze liche domy, a mroźny wiatr wiejący po stepie przenikając nasze chude ciała na wskroś, powietrze staje się przezroczyste. Patrzymy na zachód, kazachskie dzieci pokazały nam kierunek. Może zobaczymy Polskę?

Mama nie chodzi już do pracy. Leży w łóżku, ma wysoką gorączkę.

Mama nie wróciła ze szpitala. Mam na imię Kazia. Jestem sierotą. Zabrali takich jak my, bez mamy, do Atbasaru, do sierocińca. Opiekują się nami miłe siostry. Możemy z nimi mówić po polsku.

Chodzimy tutaj do szkoły. W szkole nie wolno mówić po polsku. I nie wolno pamiętać. Za pytanie – dlaczego tu jesteśmy, jest kara, więc przestajemy pytać. To jest teraz nasz dom.

Wojna się skończyła. Skąd wiemy? Mamy więcej jedzenia. I każdy ma teraz swoje łóżko.

Nazywam się Kazimiera Komosińska, mam siedemnaście lat. Jestem krawcową w fabryce, gdzieś w głębi Związku Radzieckiego. Zbyszek został w sierocińcu, w Atbasarze. Na Stalina mówi batiuszka. Nie pamięta polskich czasów, naszego domu w Brodach. Nie pamięta ojca. Ja też już nie pamiętam. Staram się zapomnieć, że było inne życie. Teraz jesteśmy tu, mamy tylko siebie.

Pewnego dnia, gdy wychodzę z fabryki, woła mnie brygadzystka. Nie powinna być zła, już wyrabiamienne normy. W biurze czeka na mnie jakaś obca kobieta.



Kazimierz z żoną Katarzyną i małą Kazią

Teraz i nas wyrzucają z domu. Nie tylko nas. Na dworze słychać pokrzykiwania, płacz, a czasem pojedynczy wystrzał. Wtedy mama przytula mocniej Adasia. Jest wiosna, kwiecień albo początek maja, bo zieleń na drzewach jeszcze delikatna.

Mam na imię Kazia i teraz mieszkam w Kazachstanie.

Nie wiem, jak długo jechaliśmy pociągiem w ciemnym wagonie. Tylko małe okienko dawało odrobinę światła na prycę powyżej nas.

Tu jest przerażająco pięknie. Pięknie bo już lato. Wokół nie ma nic, poza falującymi pod dotknięciem gorącego wiatru trawami. Step. Można biegać do nieprzytomności. Całe dnie się bawimy. Jest tu mnóstwo dzieci, takich jak my, z Polski.

Nie ma żadnego taty. Są tylko mamy, ciocie, babcie. Czasem dziadkowie, ale oni szybko umierają. Adaś też umarł. Jeszcze w pociągu. Kolejarz, ten co w Brodach był naszym sąsiadem, zabrał od mamy zawiniątko i obiecał, że je pochowa. Żeby wiedziała, żeby była spokojna. Mama jest potem bardzo spokojna. Nie wstaje z pryczy. Dopiero na końcu podróży, tu na miejscu, siłą wyrzucają ją z wagonu.

– Proszę się pakować. Jedzie pani do Polski. Siadam na krześle. Nic nie rozumiem. Gdzie mam jechać? Po co? Podaje mi dokument. W rogu symbol Czerwonego Krzyża.

Jest czerwiec 1950 roku. Nazywam się Kazimiera Komosińska. Czekam w Brześciu nad Bugiem na mojego młodszego brata.

Znów jedziemy pociągami. W przeciwnym kierunku. Widok za oknem nie przypomina niczego znajomego. Tylko zniszczone miasta, miasteczka i wioski. Na dworcu w Katowicach wita nas płacząca kobieta. Siostra mamy. Podobna, tylko starsza. Szukała nas cały czas. Nawet przedtem, zanim sama została przesiedlona z Kresów wschodnich na Śląsk. Jest nauczycielką. To dobrze. Zbyszek nie zna polskiego, a będzie tu chodził do szkoły. Musi nauczyć się pisać i czytać po polsku.

Nie jesteśmy sami. Mamy rodzinę, dużą rodzinę. Brat ojca zaprasza nas na lato do

Sarbinowa, w Wielkopolsce. Do domu dziadków zjeżdżają inni krewni. To takie dziwne, mieć nagle taką ogromną rodzinę.

Wiemy, że mama umarła, ale co się stało z ojcem? Ciocia wciąż pisze listy do Czerwonego Krzyża. My też piszemy. I wciąż ta sama odpowiedź: miejsce pobytu – nieznane.

Uczę się wieczorowo. Mam pracę, na kopalni w biurze. Poznaje tam mojego męża. Jestem szczęśliwa. Mamy swój własny kąt. I córkę, Basienkę. Zbyszek też pracuje na kopalni. Poukładało nam się w Polsce.

Nazywam się Kazimiera. Mam osiemdziesiąt sześć lat.

Nie pytaj mnie więcej o tamte czasy. Nie chcę do tego wracać. W życiu zawsze trzeba patrzeć do przodu, pamiętać o tym. I napisz, że miałam dobre życie.

Longina Komosińska

...

Beczka

Wnuczka pana Wacława, bohatera dzisiejszej opowieści, spisała panu Mieczysławowi Staniszewskiemu historię przedmiotu, który bardzo go zainteresował. Na podstawie tego opisu pan Mieczysław, jak po nitce do kłębka, odtworzył historię pewnej nietypowej, bo papierowej, beczki. Beczka jest w tej chwili eksponatem w swarzędzkim muzeum, a żeby było jeszcze ciekawiej, na tym miejscu mieszkał dawniej bohater poniższej relacji.

Wielokrotnie, na co dzień przechodzimy obok bardziej lub mniej tajemniczych przedmiotów, nie przypisując do tego większego znaczenia. Inaczej było, kiedy pewnego dnia napotkałem niespotykaną codziennie kartonową beczkę, która służyła zaraz po zakończeniu II wojny światowej jako swego rodzaju pojemnik do transportu przesyłek pocztowych. Jeszcze bardziej tajemniczo brzmiało nazwisko nadawcy owej przesyłki w swojej formie wywodzące się z pisowni żydowskiej. Sprawa adresu na beczce wyjaśniła się bardzo szybko – był to adres do mieszkańca Swarzędza. Żywość beczki zaczęła się parę lat wcześniej, w czasach, kiedy

wielu mieszkańców Swarzędza, przeszło trud codziennego życia podczas niemieckiej okupacji. Historia sięga okresu okupacji niemieckiej, kiedy adresat przesyłki, pan Wacław Zawitaj wraz z rodziną, został wysiedlony do Warszawy. Tam został zatrudniony jako stolarz w małym warsztacie stolarskim, w dzielnicy Praga, gdzie funkcjonował również mały tartak, w którym nielegalne schronienie znalazł pracownik narodowości żydowskiej. Tam połączyła dwie obce sobie do tego czasu osoby nieznajomości. Nie chcąc zostawić swego znajomego na pastwę losu, Pan Wacław, w swoim mieszkaniu, wykorzystując swój kunszt stolarski, w ścia-



nym, zagrożenie dekonspiracją bardzo duże, a o jej konsekwencjach strach było pomyśleć. Pewnego dnia, Żyd wraz z żoną i córką postanowili spróbować opuścić bezpieczne schronienie. W trudnych słowach pożegnania, mając nadzieję na szczęśliwe zakończenie, skierował do swojego dotychczasowego wybawcy takie

nie adaptował wnękę na bardzo przemyślną skrytkę. Tam bezpieczne schronienie znalazł jego podopieczny. Trzeba uzupełnić, że był to okres Powstania Warszawskiego, gdzie kontrole, rewizje, były na porządku dzien-

słowa: „Waciuś, jeżeli ja przeżyję, to ty do końca życia chleba nie będziesz kupował”. Niestety podczas próby ucieczki, na ulicy został rozpoznany przez niemiecki patrol i rozstrzelany. Żonie wraz z córką, która urodą w żadnym stopniu nie przypominała urody kobiet żydowskich, (była śliczną blondynką) udało się uciec i przeżyć okropności okupacji. Po zakończeniu wojny wyemigrowały do Kanady skąd te owe specyficzne beczki z podarunkami do p. Wacława napływały. Wojenne losy p. Wacława potoczyły się podobnie jak większości wysiedleńców ze Swarzędza – do Warszawy, z powrotem poprzez obóz przejściowy w Pruszkowie, poprzez prace przymusowe w Niemczech i powrót w formie tułaczki do swojego Swarzędza. Dla mnie był to bohater – stworzył nadzieję na przeżycie człowiekowi, który przez Niemców został ze społeczności świata skreślony raz na zawsze.

Mieczysław Staniszewski

...

WPISANI W HISTORIĘ MIASTA – SWARZĘDZKIE SZKOLNICTWO WE WSPOMNIENIACH

Maria Kaczmarkiewicz (1892-1987)

Długoletnia nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 1 w Swarzędzu, wychowawczyni wielu pokoleń Swarzędzan. Urodziła się w Poznaniu 19 lipca 1892 roku. Była najmłodszym dzieckiem w rodzinie Ignacego i Teofili (z domu Osińska). Ojciec był kucharzem, stąd rodzina często zmieniała miejsce zamieszkania. Maria miała jeszcze trzech braci: Teodora, Seweryna i Stanisława oraz siostrę Annę (z którą mieszkała także w Swarzędzu).

Do swarzędzkiej Szkoły Powszechnej, jak wówczas brzmiała nazwa placówki, trafiła w kwietniu 1923 roku. Nie było to jej pierwsze miejsce pracy, jako datę wstąpienia do „służby nauczycielskiej” zapisano w aktach kuratorskich 1 kwietnia 1920 roku, a do Swarzędza



Maria Kaczmarkiewicz, wrzesień 1970 r.

przyszła ze szkoły w Tarnowie, pow. Leszno. W „Kronice Szkoły” odnotowano, że zatrudniono ją jako „siłę pomocniczą bez wykształcenia seminaryjnego”. Te braki w wykształceniu szybko uzupełniła, bo w roku szkolnym 1927/1928 posiadała już ukończony roczny kurs seminaryjny, później także wyższy kurs „kierunkowy” w zakresie robót ręcznych i rysunków.

W Swarzędzu uczyła młodsze klasy, i to zarówno w okresie przed wybuchem wojny, jak i po zakończeniu okupacji. Początkowo nauczane przez nią przedmioty były bardziej zróżnicowane: język polski, geografia, religia. W okresie okupacji niemieckiej, we własnym mieszkaniu, wykazując się niesamowitą odwagą, prowadziła tajne nauczanie dzieci w zakresie szkoły powszechnej. Przygotowywała je także do I Komunii św. W sumie – jak przyznała – przerobiła program szkolny z grupą 70 swarzędzkich dzieci. Później uczyła głównie języka polskiego. Prowadziła także różne zajęcia pozalekcyjne. We wspomnieniach uczniów, szczególnie w tych powojennych, często pojawiają się zajęcia w ramach kółka teatralnego. Przedstawienia prezentowano zarówno w szkole, w ramach akademii szkolnych czy rocznic, ale także na scenie obecnego Domu Akcji Katolickiej (po wojnie kina „Rusałka”).

Wspomnienie Marli Kaczmarkiewicz o tajnym nauczaniu w okresie okupacji

„W okresie okupacji hitlerowskiej w czasie od 3 stycznia 1940 do 21 stycznia 1945 roku nauczałam tajnie w Swarzędzu. Uczyłam indywidualnie i w kompletach liczących 6-10 osób we własnym mieszkaniu w Swarzędzu przy ul. Podgórznej 6. W czasie II wojny dzieci polskie uczęszczały do szkoły, ale do niemieckiej. Rodzice zaczęli mnie nachodzić prosząc, abym uczyła ich dzieci w języku polskim. Wierzyli oni, że Polska istnieć będzie i martwili się o przyszłość swoich dzieci. Rozumiejąc troskę rodziców podjęłam się tej niebezpiecznej pracy. Z grupą 70 dzieci przerobiłam program szkoły podstawowej. Cieszy mnie bardzo, że praca moja wydała owoce, gdyż wszyscy z moich uczniów osiągnęli cel swojego życia. Wielu

W 1946 roku została odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi, a w 1956 roku Złotym Krzyżem Zasługi. We wrześniu 1970 roku obchodziła 50-lecie pracy zawodowej w oświacie, by 12 października tego samego roku przejść na emeryturę. W zawodzie nauczyciela przepracowała 50 lat, z tego 47 lat w Swarzędzu. Gdy rozpoczynała tutaj pracę kierownikiem szkoły był Leon Maćkowiak, zegnał ją zaś Stanisław Maik. Była żywą historią szkoły z lat przedwojennych i po zakończeniu okupacji. Przeżyła wiele reorganizacji placówki i reform oświatowych. Za swą pracę odznaczona została także Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Zmarła 30 stycznia 1987 roku, pochowano ją na cmentarzu przy ul. Poznańskiej, obok matki (zmarłej w 1945 roku) i siostry (zmarłej w 1977 roku). Za wyjątkiem ostatniego okresu życia mieszkała w Swarzędzu, na parterze w kamienicy przy ul. Podgórznej 6 (dawniej nr 13). Nie założyła własnej rodziny.

W październiku 2014 roku, w Dzień Nauczyciela – w obecności byłych uczniów i nauczycieli – odsłonięto tablicę pamiątkową ufundowaną ku jej pamięci.

Aurelia Bartoszek

z nich po ukończeniu szkoły wyższej znajdują się na poważnych stanowiskach. Dzieci przychodząc na lekcje książki i przybory szkolne nosiły ukryte w dzbankach do mleka, w torbach na sprawunki lub w workach do ziemniaków. Przychodziły i wychodziły pojedynczo w odstępach czasu. Widząc policjantów niemieckich przechodzących pod domem lub słysząc energiczne pukanie usuwały się z pokoju bez poleceń, by po pewnym czasie powrócić do przerwanych zajęć. Często zdarzały się wypadki, że podejrzane mieszkania, w których odbywała się nauka, były nawiedzane przez policję. Pewnego razu, kiedy dzieci po skończonej nauce udawały się jednymi drzwiami do domu, to drugimi drzwiami weszła policja.

W pokoju, gdzie się uczyły dzieci, było duszne powietrze. Jeden z policjantów odezwał się „Warum ist hier so dumpfe Luft als hier viele Leute waren? Sie müssen doch die Fenster aufmachen!”. Mieszkanie moje znajdowało się na parterze i dzieci dla bezpieczeństwa uczyły się przy zamkniętych oknach. Dżdżyste powietrze sprawiało, że ubrania dzieci były wilgotne i przez to panował w pokoju zaduch.

Okres tajnego nauczania w czasie okupacji zaliczono mi w wymiarze podwójnym, łącznie 9 lat i 11 miesięcy. Za powyższą działalność zostałam Uchwałą Krajowej Rady Narodowej

z dnia 29 maja 1946 roku odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi.”

Źródło: Marian Pokrywka, *Nauczanie historii w oparciu o elementy dziejów regionalnych wybranych miejscowości powiatu poznańskiego*. Swarzędz 1974, s. 121-122; Marian Pokrywka, *Szkolnictwo podstawowe w XIX i XX wieku na terenie Swarzędza*. Swarzędz 1962. Maszynopisy prac seminaryjnych napisanych na UAM, znajdujące się w zbiorach swarzędzkiej Biblioteki Miejskiej. O Marii Kaczmarkiewicz wspominała także Urszula Kusztelska, a jej relację spisała Halina Staniewska w art. „Pedagog z prawdziwego zdarzenia”. Zob. „Tygodnik Swarzędzki” 2014 nr 36, s. 17.

Cykl wspomnień o Marli Kaczmarkiewicz

Wspomnienie o Marli Kaczmarkiewicz

Relacja/wspomnienie Urszuli Kusztelskiej (córkę Leona Jarmuszkiewicza, najmłodszego swarzędzkiego ochotnika walczącego w Powstaniu Wielkopolskim). Przedruk z Tygodnika Swarzędzkiego, nr 36/2014, za zgodą p. Katarzyny Taterki – dziękujemy!

W czasie wojny w tajnych kompletach u nauczycielki Marii Kaczmarkiewicz nie uczestniczyłam, ale byłam przez nią przygotowana do I Komunii Św. Przystępowaliśmy do Komunii w Poznaniu, w kościele Św. Wojciecha, ponieważ kościół w Swarzędzu był we wojnę zamknięty dla Polaków. Pani Kaczmarkiewicz przygotowywała do Komunii trzy grupy dzieci. Byłam w drugiej grupie. Trwało to od maja do sierpnia 1943 roku. Było nas 9 dziewczynek i 11 chłopców (dziś żyją jeszcze z tej grupy prócz mnie dwie osoby). Chodziłam wraz z innymi dziećmi do nauczycieli (ojciec i siostra Anna też byli nauczycielami) do domu na ul. Podgórną. Ich dom stał obok domu Łanieckich i Jarczyńskich. Nauka katechizmu odbywała się we wtorki i w czwartki. Pani Maria tłumaczyła, zadawała i odpytywała. Ona bardzo się tym tajnym nauczaniem narażała. Myśmy wchodziłi do domu wejściem od podwórza i tak było wszystko przygotowane, że w razie czego – w razie kontroli Niemców – mieliśmy uciekać przez ogród. Do Komunii przystąpiliśmy 15 sierpnia. Wtedy do Poznania jechaliśmy tzw. „rolwągą” czyli wozem, który miał ławki po obu stronach i był wypożyczony z przejętej przez Niemców firmy Skweresów (mieszącej się na

rogu Gołębiej i Nowego Światu). Wcześniej do pierwszej i drugiej spowiedzi szliśmy pieszo do os. Warszawskiego, a stamtąd do kościoła już jechaliśmy trolejbusem. Biała sukienka była uszyta z płótna, a białe buty, podobne do tenisówek, zrobił szewc. Do kościoła wchodziliśmy przez zakrystię i tam mamy zakładały nam wianki. W rękach trzymaliśmy lilijki, świece mieli tylko ministranci stojący po bokach. Książeczki i różaniec (mam go do dzisiaj) kupowało się wtedy w sklepiku Bolesia Majerowicza.

Kontakt z Panią Kaczmarkiewiczową miałam jeszcze w czasie wojny w niektóre niedziele. Swarzędzanie chodzili wtedy pieszo do kościoła do Tulec. Zdarzało się, że w drodze z kościoła u jednego gospodarza w Garbach robiliśmy sobie odpoczynek. Siadaliśmy wtedy w większym gronie pod kasztanem i pani Maria opowiadała o literaturze i o historii. Zastępowało nam to prawdziwe polskie lekcje. Przed wojną skończyłam tylko jedną klasę. Potem w szkole to Niemcy organizowali tylko wiosną i jesienią kursy niemieckiego dla dzieci i wyjazdy na zbiórki ziemniaków, jagód i ziół.

Na tajne komplety wtedy do niej nie chodziłam, a wiem, że uczyła w domu w tajemnicy inne dzieci. Moich rodziców nie było na to stać.

Pani Kaczmarkiewicz nie miała wtedy żadnych dochodów i rodzice przynosili jej wtedy za uczenie dzieci żywność.

Miałam z nią kontakt jeszcze po wojnie. Do roku 1950 w Komu Katolickim (później w Domu zorganizowano kino) przygotowywała przedstawienia. Brałam w nich udział. Pamiętam, że były to „Królowna Śnieżka”, „Objawienia z Lourdes” i „Jasełka”. W tych ostatnich to byłam przeważnie pastuszkami, bo dobrze śpiewałam. Przedstawienia odbywały się z reguły w sobotę i niedzielę, a powtarzane były przez miesiąc. Kostiumy przygotowywali wtedy rodzice.

Pani Kaczmarkiewicz była osobą bardzo ciepłą, życzliwą, taką belferką z prawdziwego zdarzenia. Nie założyła rodziny. Cały czas poświęcała dzieciom.

Jej wzorem także i ja chciałam zostać nauczycielką. Nie udało mi się to jednak. Nie dostałam



Przedstawienie Królowna Śnieżka, lata powojenne

się do szkoły pedagogicznej ponieważ ojciec miał jeszcze warsztat stolarski. Nie przyjęto mnie do szkoły z uwagi na pochodzenie. Udało się to dopiero po 6 latach mojej młodszej siostrze.

relacji wysłuchiwała HS

...

Moja Pani – o Marli Kaczmarkiewicz

Ponad 60 lat minęło, kiedy pierwszy raz stanęłam w murach Szkoły Podstawowej nr 1 w Swarzędzu.

Czy z tak odległej perspektywy jest możliwe pamiętać dokładnie swoją pierwszą klasę, koleżanki i kolegów, a przede wszystkim swoją pierwszą panią? Tak, jeżeli było to przeżycie wywołujące wielkie emocje.

Przypominam sobie, jak kurczowo trzymałam się ręki mamy z przerażeniem myśląc, co mnie tu czeka. Pani, która miała być moją wychowawczynią, wcale mi się nie spodobała. W oczach siedmioletki była po prostu stara. Porównywałam ją z innymi paniami i wypadały one znacznie lepiej. Było to, na szczęście, tylko przelotne wrażenie, bo całkowicie zmieniłam zdanie po pierwszych słowach pani skierowanych wprost do nas: „Witajcie kochane pierwszaki”.

Pani Kaczmarkiewicz była nauczycielką w pełni oddaną swoim uczniom. Wprowadzała nas nie tylko w tajniki wiedzy, ale też wychowy-

wała, uczyła dobrych manier i szacunku dla wszystkich ludzi. Jednym słowem, kształtowała w nas umiejętności prawidłowego funkcjonowania w społeczeństwie.

Z prawdziwą przyjemnością wspominam zajęcia w ramach kółka teatralnego, które prowadziła.

Uwielbiałam występować na scenie, a do tego właśnie przygotowywała nas pani Maria. Występowaliśmy nie tylko na tzw. akademiach szkolnych, ale także dla szerszego grona dorosłych.

Nauczycielka ta była niekwestionowanym autorytetem, mądrym pedagogiem doskonale pojmującym swój trudny zawód.

Po latach, gdy wspominam panią Kaczmarkiewicz myślę, że właśnie wtedy, pod wpływem tej nauczycielki, zapragnęłam być taką jak ona i to zdecydowało o wyborze mojej dalszej drogi życiowej związanej z nauczaniem.

Krystyna Nowicka

Zimowe pończochy – znak rozpoznawczy

Moja Mama urodziła się w Gruszczynie w 1922 roku, ale do szkoły uczęszczała w Swarzędzu, gdyż z dniem 1 lipca 1926 roku zlikwidowano szkołę w Gruszczynie, a wszystkie dzieci przypisano do SP nr 1 na ul. Zamkowej.

Mama codziennie przemierzała więc pieszo drogę z domu do szkoły i z powrotem, około 5 km, bez względu na porę roku. Dla małej dziewczynki (bo naukę szkolną rozpoczęła o rok wcześniej) nie było to łatwe zadanie. Szczególnie źle wspominała jeden fragment drogi, tzw. „wąwóz”, czyli odcinek od dzisiejszego mostku na Cybinie do ronda im. Leszka Grajka. Dziś już nic nie przypomina tamtej drogi, może tylko lekki spadek, a zaraz potem wniesienie jezdni wzdłuż skarpy, za którą stoi jeden z bloków spółdzielczych osiedla Kościuszkowców. Wtedy były tutaj zarośla, drzewa i odludzie niezbyt przyjazne dla małej uczennicy. Szczególnie zimową porą, zmarznięta i przemoczona, często także zmęczona, docierała do szkoły. Wiosną i jesienią chodziła boso, w zimie – w drewnianych chodakach i wełnianych pończochach, które nie chroniły dobrze nóg. W klasie, siedząc już w ławce, zsuwała więc często drewniaki z nóg, aby pończochy choć trochę mogły wyschnąć i tak mocno nie ziębiły.

Gdy moja Mama opowiadała mi tę historię, zawsze w tym momencie pojawiała się postać pani Marii Kaczmarkiewicz, nauczycielki z SP nr 1. Jak się bowiem okazało, szczególną uwagę

nauczycielki przy pierwszym kontakcie z moją Mamą jako uczennicą, wzbudziły wtedy miejsca cerowane w pończochach, o czym Mama dowiedziała się dopiero wiele lat później, gdy po latach zaprowadziła mnie, swoją córkę, do pierwszej klasy. Pani Kaczmarkiewicz rozpoznała Mamę od razu i przypomniała jej te pięknie cerowane pończochy. Dlaczego zwykle cery utkwily na wiele lat w pamięci nauczycielki? Pewnie dlatego, że właśnie sama prowadziła zajęcia z przedmiotu „roboty ręczne” i jako specjalistka umiała ocenić dobrze wykonaną pracę w tym względzie. Takie drobne skrzywienie zawodowe.

Pani Kaczmarkiewicz prowadziła także szkolne kółko teatralne, przygotowywała nas do akademii okolicznościowych i występów rocznicowych. Była wymagająca w zakresie naszej dykcji i gestów, ale efekty jej pracy zaowocowały później. Pamiętam przedstawienie „Królowna Śnieżka” w sali kina „Rusałka”, w którym brałam udział i z którego zachowało się w rodzinnym albumie kilka zdjęć. Występ się udał, a publiczność była bardzo zadowolona i nagrodziła nas mocnymi brawami.

Pani Maria Kaczmarkiewicz zmarła mając 95 lat, w pogrzebie wzięło udział wiele osób – jej uczniów i wychowanków, w tym moja Mama.

SM

...

Moje wspomnienia o Pani Marli Kaczmarkiewicz

Pani Maria Kaczmarkiewicz uczyła nas wszystkich: ojca, mamę – jeszcze przed II wojną, a moją siostrę i mnie – już po. Do klasy 1a zaczęłam uczęszczać w 1964 r. – w „dużej” szkole. Sala nr 8 znajdowała się na I piętrze, tuż przy schodach prowadzących na II piętro. W sali stały drewniane ławki z dziurą na kałamarz. Kałamarze stały na tacy w szafie. Gdy miało się szczęście trafił do dziury kałamarz z czerwoną nakrętką. Lekcje odbywały się po południu

i nie trwały 45 minut, rozdzielane przerwą. W klasie p. Kaczmarkiewicz nie obowiązywały dzwonki – podobnie jak obecnie w nauczaniu zintegrowanym. Jedną z przerw była przerwa „śniadaniowa” – wyjmowało się ze śniadaniówki serwetkę, rozkładało na ławce, i na niej kładło śniadanie, najlepiej, żeby był też owoc, a pod koniec śniadania szliśmy po kolei do liczydła i wykonywaliśmy na nim działania. Podczas niektórych przerw wykonywaliśmy zabawy

ruchowe na boisku...

Kiedyś, po latach, jeden z kolegów stwierdził, że dzięki p. Kaczmarkiewicz nie musiał się wstydzić, gdy czytał synowi bajki. Gdy p. Kaczmarkiewicz sprawdzała umiejętność czytania zadanego tekstu, nie wystarczyło go przeczytać płynnie od początku do końca. Gdy już się go przeczytało, trzeba było przeczytać ten tekst od dołu do góry – i już wiadomo było, czy tekst nie jest wyuczony na pamięć. A potem jeszcze pani wskazywała na wyrywki różne wyrazy, które trzeba było odczytać. Jeśli ktoś miał problem z czytaniem, pisanem lub liczeniem, nie był pozostawiany sam sobie. Nie było wprowadzanie zajęć wyrównawczych, korekcyjno-kompensacyjnych, ale byli uczniowie, którzy sobie z tymi umiejętnościami dobrze radzili i to oni pomagali w czasie lekcji. P. Kaczmarkiewicz prowadziła też kółko, które najpierw nazywało się „Artystycznym”, a potem „Recytatorskim”. Jego próby odbywały się zaraz po lekcjach Ia – czasem przychodziłyśmy trochę wcześniej i wtedy p. Kaczmarkiewicz „przydzielała” nam ucznia, któremu trzeba było pomóc. Myślę, że to wpłynęło w jakiś sposób na mój wybór zawodu...

Od pierwszej klasy trafiłam do tego kółka... Nie pamiętam jaka to była okazja – ja, stojąc na krześle, recytowałam wiersz Marii Konopnickiej „Choinka” (A kto tę choinkę posiał w ciemnym lesie?), a starsi uczniowie wystawiali „Janka Muzykanta”. Do dzisiaj pamiętam, jak Jurek Małas (dla mnie wtedy prawie dorosły) pytał leżąc na metalowym łóżku – „Matulu, a w niebie Pan Bóg da mi skrzypeczki?” Odbywało się to w sali na parterze, od ulicy – chyba nr 2? Jeszcze wtedy nie było sceny. Gdy ją zbudowano, sala ta, na czas „akademii”, była zapleczem dla występujących. Na strychu szkoły były kosze

ze strojami – jakie tam były skarby! Pamiętam takie szpiczaste czapki z welonem na czubku – nakrycia głowy wróżek. I miałam taką czapkę założyć – miałam być wróżką w przedstawieniu „O siedmiu krukach” – niestety, odra mi to uniemożliwiła.

Do kółka należałam prawie całą podstawówkę – tak długo jak pracowała p. Kaczmarkiewicz. Przygotowywała recytatorów na wszystkie „akademie” w szkole – były montaż słowno-muzyczny, czasem przedstawienia. Występowaliśmy z nimi także w hali Zakładów Pierzarskich. Zawsze były to występy bardzo dobrze przygotowane. Już w sierpniu zaczęliśmy próby w ogrodzie przy ul. Podgórnej, przygotowując się na rozpoczęcie roku szkolnego. A poza tym – na Dzień Nauczyciela, Dzień Patrona, rocznicę Rewolucji Październikowej, Dzień Wojska Polskiego, 1 Maja i wiele innych akademii „ku czci”.

P. Kaczmarkiewicz była cierpliwa, nie pamiętam, żeby kiedykolwiek podnosiła głos. Troszczyła się o swoich uczniów – tych, którzy nie mieli śniadania, tych, którzy zimą chodzili bez czapek... Mieszkała z siostrą Anną przy ul. Podgórnej. W pokoju od ulicy były stare meble, dla mnie takie zabytkowe. Na szafce – sekretarzyku – leżały książki i stały stare zdjęcia. Czasem tam właśnie odbywały się pierwsze sierpniowe próby... i tam zawsze przyjmowała mnie p. Kaczmarkiewicz, gdy odwiedzałam ją, kiedy byłam już w liceum – zawsze na Dzień Nauczyciela.

Ostatni raz widziałam p. Kaczmarkiewicz w DPS-ie w Pokrzywnie, już wtedy była leżącą osobą, ale bardzo się ucieszyła na mój widok.

Maria Skweres

...

Nauczycielka z pasją

Wspomnienie o Teresie Niemyt (z d. Lehmann)

Na parterze kamienicy przy ul. Podgórnej nr 6 w Swarzędzu mieszkała Maria Kaczmarkiewicz – legenda swarzędzkiego nauczycielstwa. Otoczona powszechnym głębokim szacunkiem,

wychowawczyni wielu pokoleń, była wzorem do naśladowania nie tylko przez uczniów. Na piętrze wspomnianej kamienicy, 14 lutego 1947 r. urodziła się i przez długie lata mieszkała Teresa. Czy estyma oraz aura panująca wokół pani Marii, a także prestiż zawodu, to wszystko po-



Teresa Niemyt

strzegane i kodo-
wane oczami dzie-
cka, wpłynęło na
wybór profesji Te-
resy? Z pewnością
tak. Zawsze chcia-
ła być nauczycielką
i z ogromną determi-
nacją realizowała
dziecięce marzenia.

Kwalifikacje na-
uczycielskie uzyskała w Studium Nauczyciel-
skim w Poznaniu. Następnie odbyła studia na
Wydziale Matematyki i Fizyki UAM w Pozna-
niu oraz Studium Podyplomowe w Instytucie
Matematyki tejże uczelni. Dalsze pogłębianie
kwalifikacji na licznych kursach i szkoleniach
wynikało z kolejno zajmowanych stanowisk oraz
profilu prowadzonych zajęć dydaktycznych.
Bardzo ceniła sobie ukończenie kursu z zakresu
oligofrenopedagogiki oraz z zakresu konstru-
owania programów edukacyjnych w szkołach
podstawowych i gimnazjach specjalnych dla
uczniów umiarkowanie i znacznie upośledzonych
umysłowo. To predestynowało do prowadzenia
zajęć z młodzieżą niepełnosprawną umysłowo.
Posiadała tytuł nauczyciela dyplomowanego,
stopień nauczyciela mianowanego, a także drugi
stopień specjalizacji zawodowej w zakresie
nauczania matematyki.

Pierwszą pracę otrzymała w 1967 r., w Szkole
Podstawowej w Pobiedziskach. Oprócz naucza-
nia matematyki, wiele czasu poświęcała na
pracę z dziećmi i młodzieżą podczas przeróż-
nych zajęć pozalekcyjnych – m. in. prowadziła
kółko matematyczne oraz drużynę harcerską,
opiekowała się również szkolnym samorządem.
Uciążliwe dojazdy skłoniły Teresę do zmiany
miejsca zatrudnienia. W 1975 r. pożegnała
młodzież oraz grono przyjaciół i od września
rozpoczęła pracę w Szkole Podstawowej nr 9
im. Franciszka Witaszka w Poznaniu. Tu dała
się poznać jako nauczyciel wykraczający poza
schematy w nauczaniu matematyki. Oprócz
zajęć dydaktycznych organizowała różne formy
aktywności uczniów rozbudzając, rozwijając
i kształtując ich zainteresowanie matematyką.
To wszystko przez wiele lat owocowało wyso-
kimi lokatami, jakie zajmowali jej podopieczni
w olimpiadach matematycznych. Dopelnieniem

szerokiego wachlarza zajęć były lekcje w Szkole
Ćwiczeń Instytutu Matematyki UAM, lekcje poka-
zowe dla nauczycieli i studentów, prowadzenie
zespołu samokształceniowego oraz opieka nad
nauczycielami w okresie stażu. Jej kompetencje
oraz zaangażowanie w pracę z młodzieżą,
a także w życie szkoły, było asumptem awansu
w 1985 r. na stanowisko wicedyrektora szkoły.
Nie należała do żadnej partii politycznej, a jej
kandydatura musiała zostać zatwierdzona
przez czynniki polityczne dzielnicy Poznań –
Grunwald. Nie odbyło się to bez perturbacji.
W końcu zwyciężyły kompetencje, a Teresa
pozostała nadal osobą bezpartyjną. Zapewne
w poznańskiej dziewiątce pracowałaby przez
długie lata, gdyby nie Czesław Kabaciński,
dyrektor Szkoły Podstawowej nr 2 w Swarzędzu,
który w Teresie upatrzył swoją następczynię.
Przez kilka lat zabiegał, by zmieniła pracę
i objęła posadę w swarzędzkiej „dwójce”.
Jak podkreślał, przechodząc na emeryturę
chciał przekazać szkołę w „dobre i pewne
ręce”. Z początkiem września 1988 r. Teresa
rozpoczęła pracę w Swarzędzu na stanowisku
zastępcy dyrektora, a później dyrektora Szkoły
Podstawowej nr 2 im. Królowej Jadwigi. Kierując
dużym gronem nauczycieli umiejętnie organi-
zowała pracę dydaktyczną, kładąc nacisk na
urozmaicenie strategii nauczania i stosowania
wiedzy w praktycznym działaniu. Z troską po-
chylała się nad osobistymi problemami zarówno
nauczycieli jak i personelu technicznego czy
pomocniczego. Wielu osobom pomogła pokonać
niebezpieczne życiowe zakręty. Cierpliwość,
a także wytrwałość i wyrozumiałość pozwa-
lały zrozumieć problemy oraz potrzeby dzieci
w różnym wieku. Dla niej zawsze najważniejszy
był uczeń, zwłaszcza ten, któremu los poskąpił



Dyrektor Teresa Niemyt (z bukietem kwiatów)
z gronem pedagogicznym SP 2

sprawności intelektualnej. Z chwilą osiągnięcia wieku emerytalnego zrezygnowała z dyrektorskiego fotela i całkowicie poświęciła się edukacji dzieci z niepełnosprawnością umysłową. Najpierw w rodzimej „dwójce” uczyła w klasach specjalnych. Następnie zatrudniła się w Szkole Podstawowej nr 1 jako nauczyciel nauczania indywidualnego, specjalnego. Przez wiele lat dojeżdżała do uczniów, którym stan zdrowia uniemożliwiał uczęszczanie do szkoły. Potrafiła bardzo szybko nawiązać z podopiecznymi wzajemne, głębokiego serca, relacje. Po zakończonym etapie nauki często z wewnętrznej, altruistycznej potrzeby, a także na prośby rodziców, odwiedzała wychowanków, niosąc

im swoją obecnością nieopisaną radość.

Za pracę wielokrotnie otrzymywała nagrody, przyznawane przez organa założycielskie i nadzorcze, z nagrodą Ministra Oświaty i Wychowania włącznie. W 1988 r. odznaczona została Złotym Krzyżem Zasługi.

W czerwcu 2006 r. zakończyła aktywność zawodową. Do końca życia radowała się z tego, że była nauczycielką. Mile wspominała wielu współpracowników oraz uczniów, którzy trwale zapisali się w jej pamięci. Zmarła 21 lutego 2016 r. Pochowana została na Cmentarzu Komunalnym w Swarzędzu.

Marek Stanisławski

...

Początki szkolnictwa zawodowego w Swarzędzu po II wojnie światowej

W 1946 roku wznowiła działalność Publiczna Średnia Szkoła Zawodowa o profilu drzewnym. Siedzibą szkoły był budynek przy pl. Niezłomnych, dzielony ze swarzędzką Szkołą Podstawową nr 2. Uczniowie podstawówki korzystali z sal w godzinach przedpołudniowych, przyszli rzemieślnicy uczyli się zaś po południu. Pierwszym kierownikiem był Edward Mielcarzewicz, po nim szkołą kierował Franciszek Grynia, a potem mgr Aleksander Szot.

Nauka w szkole trwała trzy lata. W początkowym okresie nauki, szkoła cieszyła się dużą renomą wśród absolwentów szkoły podstawowej. Później jednak uczniów ubywało. Młodzież, by uzyskać uprawnienia do wykonywania zawodu, nie musiała uczęszczać do szkoły zawodowej, wystarczył bowiem tylko kilkumiesięczny kurs teoretyczny w Zakładzie Doskonalenia Rzemiosła, a potem płatna praktyka w warsztacie rzemieślniczym na podstawie umowy z właścicielem warsztatu. Po ukończeniu 18 roku życia i uzyskaniu pełnoletności, wielu uczniów zrezygnowało z nauki i podejmowało normalną pracę za cenę wyższych zarobków, egzamin czeladniczy zdając przed Komisją Rzemiosła Cechowego.

Z dniem 1 stycznia 1952 roku szkoła została wyłączona z resortu oświaty i przeniesiona

pod opiekę Ministerstwa Przemysłu Drobego i Rzemiosła.

Nauka w szkole odbywała się w bardzo trudnych warunkach. Zajęcia praktyczne prowadzono w warsztatach mieszczących się w starych budynkach przy ul. Bramkowej 4 (obecnie ul. Mylna 4) i przy ul. Podgórnej 7. Dzięki staraniom dyrektora szkoły mgr. Aleksandra Szota w 1954 roku naukę teoretyczną przeniesiono do dawnego Hotelu Polskiego przy ul. Poznańskiej 4, a warsztaty do znacznie większego i lepiej wyposażonego budynku przy ul. Podgórnej 7. Odtąd uczniowie mieli już warunki nauczania takie same jak w innych szkołach. Nauka teoretyczna i praktyczna zaczynała się rano, o godzinie 8.00. W klasach było przeciętnie ponad dwudziestu uczniów, którzy pracowali w systemie trzy dni tygodniowo nauki w szkole i trzy dni nauki praktycznej, która odbywała się w warsztacie przy ul. Podgórnej 11. Warunki tutaj były zdecydowanie lepsze. W parterowej części budynku był umieszczony bogaty park maszynowy z podstawowymi obrabiarkami do produkcji. W pomieszczeniach na piętrze odbywała się obróbka ręczna i montażowa. Nauka praktyczna została tak zorganizowana, że uczniowie wykonywali rysunki wyrobów, które instruktorzy ujmowali w planach, potem wdrażano je do praktycznego wykonania w procesie



Budynek przy ulicy Piaski 2 (współcześnie), z zaznaczonym rozkładem pomieszczeń w latach 1954-1961, fot. A. Bartoszek

technologicznym. Taki cykl nauki, w powiązaniu z praktyką, był dla uczniów bardzo cenną lekcją przystosowania do zawodu, jakiego podjęli się wykonywać w przyszłości. Już od klasy pierwszej wykonywali wyroby, które były sprzedawane na rynek lub stanowiły realizację zamówień (np. dla szkół wykonywano stoły, ławki szkolne, itp.).

Uczniowie szkoły mieli obowiązek noszenia czapek. Były one welurowe w kolorze ciemnozielonym z brązowym otokiem. Było to dla ucznia w pewnym stopniu mobilizujące i dyscyplinujące. Noszenie takiej czapki było swego rodzaju wyróżnieniem przed kolegami, którzy praktykowali tylko w prywatnych warsztatach, a później zdawali egzamin czeladniczy. Uczniowie otrzymywali stypendium, które wzrastało wraz z przejściem do wyższej klasy. Uczeń, który na egzaminie semestralnym miał ocenę niedostateczną z jakiegoś przedmiotu, tracił je. Gdy ocenę poprawił, mógł je odzyskać w następnym semestrze.

Po ukończeniu trzyletniej nauki zawodu odbywał się egzamin końcowy. Po zaliczeniu egzaminu teoretycznego każdy uczeń wykonywał wcześniej ustalony z nauczycielem tzw. wyrób, który oceniała komisja egzaminacyjna w składzie: przedstawiciel Cechu z Izby Rzemieślniczej z Poznania, dyrektor szkoły i mistrz praktycznej nauki zawodu. Po zaliczeniu i zdaniu egzaminów uczeń uzyskiwał tytuł czeladnika w zawodzie stolarza meblowego i świadectwo ukończenia Zasadniczej Szkoły Drzewnej. Szkołę tę ukończyły trzy roczniki, tj. około 36 uczniów.

Kolejna przeprowadzka miała miejsce po wybudowaniu Szkoły Podstawowej przy ul. Polnej. Zarządzeniem Ministerstwa Oświaty 18 grudnia 1961 roku otwarto Zasadniczą Szkołę Zawodową dla Pracujących. Szkoła nie miała jednak samodzielności, znów dzieliła

pomieszczenia z uczniami podstawówki. Na jej potrzeby przydzielono część pomieszczeń na drugim piętrze. Zajęcia odbywały się w godzinach popołudniowych. Dyrektorem Szkoły Zawodowej został Franciszek Leciejewski. Po nim funkcję tę sprawował Kazimierz Kulczak.

W 1982 roku szkoła stała się ostatecznie niezależną placówką publiczną i przyjęła nazwę „Zasadnicza Szkoła Zawodowa”. Szkoła kształciła młodocianych pracowników różnych zakładów pracy oraz uczniów prywatnych warsztatów rzemieślniczych różnych branż: stolarskiej, tapicerskiej, w zawodzie sprzedawca, lakiernik i ślusarz. Szkoła zatrudniała własnych pełnoetatowych nauczycieli (dotychczas byli to głównie nauczyciele ze szkół podstawowych) oraz pracowników inżynierskich posiadających przygotowanie pedagogiczne ze swarzędzkich zakładów pracy.

Grono pedagogiczne Zasadniczej Szkoły Drzewnej Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy w latach 1952-1958:

- Dyrektor szkoły: mgr Aleksander Szot
- Język polski: mgr Krystyna Nizio
- Matematyka: mgr Zara, mgr Franciszek Leśniak
- Technologia: mgr Aleksander Szot
- Materiałoznawstwo: mgr Aleksander Szot
- Chemia i fizyka: mgr Alfons Dachtera
- Wychowanie fizyczne: mgr Franciszek Leśniak
- Język rosyjski: mgr Zara
- Rysunek zawodowy: mgr Aleksander Szot
- Nauka o Polsce i świecie współczesnym: mgr Aleksander Szot
- Sekretariat: Zofia Jaworska (sympatyczna, mile wspomiana, gdyż wypłacała uczniom stypendium)

- Praktyczną naukę zawodu prowadzili:
- mistrz Kazimierz Dobiński: obróbka ręczna
- mistrz Władysław Piechowiak: obróbka ręczna
- mistrz Tadeusz Janiszczak: obróbka ręczna
- mistrz Kazimierz Zawitaj: obróbka maszynowa
- mistrz Feliks Gajewski: obróbka maszynowa

Bogdan Komiński
uczeń Zasadniczej Szkoły Drzewnej
Spółdzielczości Pracy w latach 1954-1957,
nauczyciel technologii, materiałoznawstwa,
maszynoznawstwa (w tym BHP) w Zasadniczej Szkole Zawodowej w latach 1983-1986
Współpraca i fot.: Aurelia Bartoszek

Jak my się ruskiego uczyli – Marek Stanisławski

W piątej klasie rozpoczęliśmy naukę języka rosyjskiego. Lekcje prowadziła młoda nauczycielka, z krótkim stażem. Tematem pierwszych zajęć był alfabet. Najpierw powoli, litera za literą, pani oswajała nas z wymową. Następnie cała klasa głośno powtarzała brzmienie kolejnych liter, aż opanowaliśmy fonetykę wypowiedzi. Jako zadanie domowe otrzymaliśmy polecenie nauczenia się na pamięć całego alfabetu. Na następnych zajęciach nastąpiło sprawdzenie naszych lingwistycznych zdolności. Odpytywanie rozpoczęło się od uczennicy, prymuski z pierwszej ławki. Zaiste, nieodgadnione jest, dlaczego kujony i prymusi zawsze siedzieli z przodu w pierwszych rzędach. Z przejęciem, jak to przystało, deklamowała: a, be, we, ge, de, je, jo, ze... i tu zrobiła krótką pauzę dla złapania oddechu. W tym momencie ktoś z końca sali głośno krzyknął: jedzie Adolf na motorze. Konsternacji, jaka pojawiła się na twarzach nauczycielki towarzyszył donośny śmiech całej klasy. Kiedy ustał wesoły nastrój, oczywiście pomimo wnikliwego „śledztwa” nikt nie przyznał się do zakłócenia powagi lekcji. Przy próbach odpytania kolejnych adeptów było już tylko gorzej. Salwy śmiechu coraz bardziej deprymowały nauczycielkę. Widząc, że sytuacja wymyka się spod kontroli, wybiegła z klasy po pomoc. Po krótkiej chwili w drzwiach stanął we własnej osobie kierownik szkoły – pan Franciszek Schneider, a za nim rozdygotana rusycystka.

W klasie zapanała grobowa cisza. Przybycie z odsieczką najważniejszej osoby w szkole uzmysłowiło nam powagę sytuacji. To już nie były przelewki. Po powitaniu na stojąco, grzeczni, spokojni, bojący się nawet poruszyć w ławkach, uważnie wysłuchiwalismy patetycznego monologu. Kierownik mówił długo, a nawet bardzo długo. Usłyszeliśmy o przyjaźni polsko-radzieckiej, o bratniej pomocy i odbudowie kraju, o zasługach Armii Czerwonej w wyzwoleniu Polski spod okupacji niemieckiej. Na koniec postanowił podzielić się z nami przykładem z własnego życia w aspekcie znajomości języków.

Okupację spędziłem w Warszawie – rozpoczął swoją opowieść. Dobrze znałem język niemiecki. Pewnego razu jadąc tramwajem

– a wagony były podzielone na część Nur für Deutsche i oddzielnie dla Polaków – przysłuchiwałem się głośnej rozmowie dwóch oficerów Wehrmachtu. Z ich rozmowy wynikało, że za chwilę tramwaj wjedzie w rewir, gdzie na dzień dzisiejszy zaplanowana jest łapanka. Ostrzegłem wszystkich podróżnych z „polskiego” przedziału, ktoś niezwłocznie zakręcił korbą hamulca i kiedy tramwaj zaczął zwalniać wszyscy wyskoczyliśmy z jadącego jeszcze pojazdu. Udało się, ocaliliśmy życie. A wszystko przez znajomość języka obcego. Pamiętajcie – rzekł na zakończenie – że warto znać język wroga!!! Gromki śmiech całej klasy zagłuszył donośny głos dzwonka wieszczącego przerwę. Świadom popełnionej gafy, kierownik czym prędzej opuścił salę, zostawiając jeszcze bardziej oniemiałą nauczycielkę z rozbawioną czeredą uczniów.

Po tym incydencie nauka języka rosyjskiego przebiegała już bez problemu.

Dzień 1 września 1960 roku dla rocznika „53” otwierał nowy etap życia. Kończył się okres beztroskich zabaw i następował czas obowiązków oraz systematycznej pracy, która miała wydawać owoce w przyszłości, a także determinować koleje naszego losu. Rozpoczęliśmy naukę w szkole podstawowej. Klasa pierwsza „a”. Już na samym początku trafiliśmy w „bardzo dobre ręce”. Przez pierwsze dwa lata naszą panią była Wanda Schleichert, fantastyczna nauczycielka o ogromnym autorytecie, sercem i duszą kochająca swoich wychowanków. Od trzeciej klasy wychowawczynią została Ludomira Łożyńska, młodziutka osoba, świeżo „po szkołach”. Bardzo szybko zdobyła naszą sympatię i szacunek. Prowadziła nas do ostatniej, ósmej klasy. Z nostalgią wspominam wielu wspaniałych nauczycieli, którzy z pasją odkrywali przed nami świat, uczyli kaligrafii (dzisiaj to niewyobrażalne, ale do kaligrafii mieliśmy oddzielny zeszyt, który bardzo szybko się zapełniał), ortografii, gramatyki, tabliczki mnożenia, wzorów fizycznych i chemicznych itp. Każdemu bakałarzowi uczniowie nadawali

pseudonim, którym posługiwały się kolejne roczniki. Niektóre dziwne, więc nie sposób było dociec ich genezy. Był więc: Kaleson, Kłaczus, Dekiel, Picer, Pyza, Gaśnica, Picus-Glancus i wiele, wiele innych.

Siedemnaście dziewcząt i dziewiętnastu chłopaków. Trzydzieści sześć różnych charakterów i osobowości, a przede wszystkim temperamentów. Byliśmy normalną, typową klasą, choć czasami niesforną. W miarę upływu lat spędzanych w szkole wzbierała w nas niepokromiona energia. Przeróżne figle i psoty czynione sobie nawzajem bądź wykładowcy, niekiedy utrudniały prowadzenie lekcji. Noto-ryczne nieposłuszeństwo zmuszało nauczycieli do stosowania przeróżnych kar. Ich arsenał był całkiem spory. Zmieniał się w zależności od wieku uczniów i stopnia przewinienia. Kiedy stanie w kącie czy siedzenie w jednej ławce z dziewczynami nie przynosiło efektu, to w „ruch” szła kara przepisywania np. 100 razy sekwencji „będę grzeczny na lekcji geografii”. Oczywiście

ście pozostawał dzienniczek uczniowski, który usiany był uwagami kierowanymi do rodziców informującymi o zachowaniu ich pupila w szkole. Recydywiści mogli liczyć na obniżenie oceny ze sprawowania, wydanej na końcu okresu bądź zapisanej na świadectwie ukończenia danej klasy. Jeśli nauczyciel nie zapanował nad własnymi emocjami stosowane były – co dzisiaj jest trudne do wyobrażenia – kary cielesne – targanie za ucho czy „lanie” czynione na rękę linijką bądź wskaźnikiem od mapy.

Z nostalgią wspominam tamte czasy i lata nauki w Szkole Podstawowej Nr 2 w Swarzędzu. Pomimo polityczno-ideologicznej indoktrynacji, proces edukacji odbywał się na wysokim poziomie, co dawało solidne podstawy oraz możliwość kontynuowania nauki w dowolnej szkole, oczywiście po zdaniu stosownego egzaminu.

Marek Stanisławski

...

PRZY KOMINKU

Mój pierwszy mecz i Unia Swarzędz

Wspomnienie nieżyjącej już regionalistki swarzędzkiej – Pani Zofii Łażewskiej (1921-2019). Artykuł ukazał się w „Tygodniku Swarzędzkim” w 2011 r. (nr 45). Przedruk za zgodą Pani Katarzyny Taterki, redaktora naczelnego „TS”. Dziękujemy!

Parę miesięcy temu Unia obchodziła swoje 90-lecie, powstała w 1921 r. Ja swoje 90-lecie będę miała za kilkanaście dni, prawie mamy równe lata.

Na pierwszy mecz Unii poszłam z moimi koleżankami dnia 17 kwietnia 1933 r., w drugie święto Wielkanocy. Miałam wtedy 11 lat. Sezon meczy zaczynał się co roku od drugiego święta Wielkanocy i trwał do wczesnej jesieni. Boisko Unii było za torami kolejowymi, naprzeciw dworca kolejowego i były do niego trzy dojścia: ulicą Kórnicką i polną drogą między żytem przed tartakiem Franciszka Zawidzkiego. Ja z koleżankami szłam ulicą Poznańską, Dworcową i Krętą do torów kolejowych, przez tory,

za torami po desce przez strumyczek gęsiego i byliśmy na boisku. Moje koleżanki już chodziły na mecze. Ja dopiero po opuszczeniu mojego rodzinnego Gruszczyna, jak zamieszkaliśmy ponownie w Swarzędzu od kwietnia 1933 r.

Jedyną rozrywką mieszkańców Swarzędza były niedzielne mecze, toteż chętnie na nie podążali. Ci, co chodzili dłużej, to byli widzowie – oni znali się na tej grze, znali cały przebieg meczu. Moje koleżanki też już trochę się znały, ja byłam tam jako gapowicz, bo nic nie wiedziałam. Widziałam, że latają za piłką i to wszystko. Ta latamina tych chłopaków nawet mi się podobała. Były okrzyki „gol” „gol” albo „aut”, ja jednak nic z tego nie rozumiałam.

Koleżanki chodziły wcześniej, to już się więcej znały na czym polegała ta gra. Tłumaczyły mi, że jak kopnięta piłka wpadnie do bramki to gol, jak za boisko to aut. Po kilku meczach byłam już trochę zorientowana co do tej gry.

Boisko było ogrodzone sznurkiem od bramki do bramki. Co parę metrów był wbity kołek, a na nim okręcony był sznurek i tak było ogrodzone całe boisko, bramki były chyba druciane. Za boiskiem wszystkie miejsca stojące były zajęte. Gospodarzem był pan Stanisław Rybarski. Brał swój kapelusz do ręki, chodził wkoło boiska i zbierał opłatę za „widzowe”; nie ominął nikogo, każdy grosz rzucony do kapelusza był cenny.

Chłopaki – gracze byli równo ubrani w białofioletowe koszulki i fioletowe spodenki, bardzo ładnie wyglądali. Jak był ubrany bramkarz? Dokładnie sobie nie przypominę, chyba miał na sobie ciemny ubiór i czapkę na głowie.

Stałam się stałym bywalcem na meczach swarzędzkiej Unii. Ja chodziłam zawsze z koleżankami, a mój brat Czesław – o dwa lata starszy – chodził z moim ojcem, toteż po każdym meczu w domu była gorąca dyskusja o przebiegu meczu, kto grał lepiej, kto był lepszy.

Zawodnicy już z domu przychodzili ubrani w stroje do gry, szatni nie było. Pamiętam Stasia Pohla jak idzie już ubrany do gry z piłką pod pachą, trepy ma na sznurowadłach zawieszane na ramieniu. Gracz, jak przyszedł w ubraniu, to kładł je za bramką na trawę. Na jednym meczu gracz kopnął tak piłkę, że pękły mu spodenki i ukazało się to, co nie powinno. Widzowie mieli z tego ubaw, a dla nas było to zawstyżeniem. Gracz musiał zejść z boiska, bo slipków nie było, a kalesony do kostek związane na tasemki. Pan Rybarski wydał wówczas polecenie, że każdy gracz musi mieć pod spodenkami krótkie gacie; sam sprawdzał przed meczem, czy te gacie mają, bez nich na boisko nie wpuścił. Porządek musiał być.

Nie pamiętam, który to był rok, gdy Magistrat wydał decyzję o likwidacji boiska za torami. Teren został przeznaczony na działki dla bezrobotnych. Unia dostaje teren pod Gortatowem, daleko za miastem. Widzów przychodzi mało. Nam też się tam nie podobało i przestałyśmy chodzić na mecze, chociaż ich nam brakowało. Najbardziej niezadowoleni



Piłkarze Unii, lata międzywojenne

byli sami gracze i pan Rybarski, bo nie miał od kogo kasować „widzowego”. Nie pamiętam jak długo było tam boisko – może nawet niecałe lato. Boisko przenoszą na ul. Cieszkowskiego za domkami po stronie prawej wychodząc do drogi łowęcińskiej. Tam zaczęliśmy znów chodzić na mecze, ale nie na długo, bo po krótkim czasie – nie wiem dlaczego – boisko zostaje przeniesione nad jezioro. Przenoszenie boiska nie było trudne, bo kołki się wyjmowało, sznurek zwijało, a bramki przewożono wozem z terenu na teren.

Tam, gdzie teraz jest boisko Unii, to był teren zarośnięty chwastami, zaśmiecony i dziki. Podobno był to teren Hoffmajerów, którzy oddali go pod boisko. Sami gracze zaczęli go porządkować, zaorali i wyrównali i tak zaczęło się tworzyć nowe boisko. Bramki ustawiono, kołki powbijano, sznurkiem ogrodzono i mecze mogły się odbywać. Znów zaczyna przychodzić więcej widzów. Na krótko przed wojną boisko zostało ogrodzone płotem z desek od ul. św. Marcin do ul. Kosynierów. Dla graczy też była ulga, bo mieli szatnię na salce w strzelnicy. Wrzesień 1939 r. kończy sezon meczy na pięć lat; boisko zostało, ale graczy Unii już tam nie było.

Po wyzwoleniu powoli zbierali się zawodnicy i zaczęli wszystko od porządkowania boiska. Unia tworzyła się na nowo. Na boisku pojawili się nowi gracze, tych z lat przedwojennych jest tylko kilku, a nam ich bardzo brakuje.

Tyle pamiętam, [...]. Dalsze losy Unii opisał pan Jacek Kąkolewski w książce wydanej na 90-lecie Unii.

Tych graczy, których tu wymienię, nikt nie wspominał. To byli dzielni chłopcy. Gonili za piłką po piaszczystym boisku, a piłka była

ciężka, skórzana. Gracze Unii z lat 1933-1939: pięciu braci Kaźmierczaków (Jan, Leon, Wacław, Walerian i Feliks); czterech braci Kułakowskich (Marian, Wacław, Witold i Henryk); trzech braci Nowickich (Franciszek, Władysław i Leon); trzech braci Pohl (Stanisław, Florian i Kazimierz); trzech braci Dobińskich (Tadeusz, Sylwester i Mieczysław), dwóch braci Starostów (Władysław i Alojzy); dwóch braci Kochanowskich (Marian i Andrzej); dwóch braci Wolnych (Sylwester i Czesław); dwóch braci Sobkowiaków (Leon i Mieczysław); ponadto: Stefan Rogacki, Roman Kurczewski, Bronisław Sobczak, Stefan Budzyński, Mieczysław Kunert, Walery Kubiak,

Henryk Ostrowski, Jan Ocetkiewicz, Edmund Noskowiak, Mieczysław Maciejewski, Alfred Rzadkiewicz, Alojzy Zawitaj, Wacław Piechnicki, Stanisław Rybacki – zapalony wielbiciel Unii, Luc Hoffmajer – gracz pochodzenia niemieckiego. Kto więcej? Już nie pamiętam.

Zapasów nie lubiłam i boksu też. Od 1945 r. na mecze chodziłam z mężem, a swoją karierę „meczową” zakończyłam w latach 1950-1955. Obowiązki rodzinne, małe dzieci nie pozwalały już na dalsze oglądanie meczów.

Zofia Łażewska

...

Swarzędzki latarnik

Słońce powoli zmierzało ku pagórkom za jeziorem, by niebawem za nimi się schować, ale jeszcze na spokojnej tafli wody rozpościęrało świetlisty żółto-czerwony skrzęcy dywan. Wrześnieowy dzień dobiegał końca. Stanisław spojrzął na zegarek. Tak, to już najwyższy czas, by udać się do pracy. Pożegnał żonę, a dzieci, 14-letnią Mysię oraz 10-letniego Bogdana, jak co dzień ucałował w czoło. Ze skrytki pod schodami wyjął długą, sztywną tyczkę. To było jego narzędzie pracy. Był miejskim latarnikiem. Do jego obowiązków należało o zmierzchu zapalić latarnie. Kółkiem osadzonym na długiej tyczce pociągał dźwignię umieszczoną wysoko pod kloszem, co otwierało dopływ gazu do głównego palnika, a ten zapalał się od nieustannie tłoczonego płomyka zapłonowego. O świcie również musiał podejść do każdej latarni i ponownie pociągnąć za dźwignię, by ją zgasić. Lubił to srebrzyste, czyste i mocne światło jakie emanowało z latarni oraz aksamitny półmrok opodal. Latarni w Swarzędzu było sporo. Codziennie musiał obejść Stary Rynek, Nowy Rynek, Zamkową, Mickiewicza, Nowy Świat, Warszawską, Wrzesińską, Kórnicką, Kilińskiego, Strzelecką, Piaski i Dworcową. Nie miał ulgi. Taką marszrutę wykonywał w dni powszednie, niedzielę oraz w święta, podczas mrozu, śnieżycy czy deszczu. W ciepły pogodny wieczór taki jak dzisiejszy spotykał

spacerujących mieszkańców Swarzędza. Przez wiele lat, odkąd tu zamieszkał i założył rodzinę, dobrze wrósł w lokalną społeczność. Codzienna obecność na ulicach czyniła z niego osobę rozpoznawalną, swoistą ikonę miasta. Był lubiany przez mieszkańców. Ci chętnie zatrzymywali się na krótkie pogawędki, często zdawkowe. – Co u pana słychać panie Morawski, jak zdrowie? – Proszę pozdrowić żonę. – A dzieci jak się mają?

Niektórzy opowiadali oraz zwierzali się ze swoich kłopotów, inni prosili o radę. Dla każdego miał uśmiech i miłe słowo. To jednaś mu sympatię ludzi.

Uff!. Rafał odetchnął z ulgą kiedy przez okno pociągu zobaczył słupy graniczne. To już Polska. Niebawem wjadą na stację w Zbąszyniu i niemiecki strażnik ochrony granic z celnikiem wysiądą. Przed chwilą skończyła się kontrola paszportowa wraz z odprawą celną. Miał niewiele bagażu. Do podręcznej torby włożył prowiant na drogę oraz trochę słodczy. Natomiast w niedużej walizce wiozł same „skarby”. Oprócz paru osobistych rzeczy było tam wyszczerbione kopyto szewskie, wykrzywione prawidła do butów, komplet pogiętych świderków, młotek bez trzonka. Wszystko starannie owinięte w szary pakowy papier. Kiedy celnik

zajrzał do walizki – znieruchomiał. Spojrzał na Rafała, na zmęczoną, zoraną bruzdami twarz. Starości przydawały siwe włosy oraz zgarbiona postać. Chyba jakiś wariat – pomyślał. Jeszcze raz dokładnie przejrzał walizkę i nie znalazł nic podejrzanego. Jak w papierach jest dobrze to chodźmy – rzekł do kompana żołdaka – ten starzec nie ma nic do oclenia.

Uff! udało się. To co najcenniejsze i co skrycie przewoził, ocalało.

Jechał do Swarzędza – do najstarszego syna Stanisława i jego rodziny. Kiedy w 1917 roku po śmierci żony, z młodszymi dziećmi osiadł we Frankfurcie nad Odrą, tu i tam były Prusy. Teraz, po raz pierwszy jechał do Polski, wolnej Polski. Nie znał synowej, ale z listów syna wiedział, że jest to kobieta dobrego charakteru, niezmiennie pracowita, o „złotym” sercu. Nie znał wnucząt. Nie mógł doczekać się, by ich wszystkich poznać.

Wielokrotnie czynił starania o wydanie dokumentów zezwalających na przekroczenie granicy, ale zawsze spotykał się z odmową. Dlatego często słał listy. Pisał o synu Michale z którym mieszkał. Wspominał jego niedawno zmarłą żonę. Dzielił się wiadomościami o wnuczętach: Irenie, Krystynie i malutkim Janie. Pisał o córkach: Zofii i Katarzynie, które z mężami wyjechały do dalekiego Urugwaju. Dzielił się też bieżącymi wiadomościami. Tymi, o których pisały niemieckie gazety lub zasłyszany w radio. Szczególnie intrygujące były te, zasłyszane na ulicy, w sklepie bądź w parku podczas spaceru z małym Jasiem. Niemcy coraz głośniej mówili o krzywdzie wersalskiej, a także o potrzebie powiększenia przestrzeni życiowej. Nikt nie ukrywał, że intensywnie się zbroją. Był zatrwożony, bo wiedział, że zmierza to nieuchronnie do kolejnej wojny. Do każdego listu wkładał parę reichsmarek. Chciał wspomóc Stanisława i jego rodzinę. Jednak z czasem zaprzestał, bo syn odpisał, że listy docierają otwarte, ocenzone i bez pieniędzy.

Kiedy na początku roku złożył podanie o paszport sądził, że znowu spotka się z odmową. Tym razem, o dziwo – nie. Prawdopodobnie Niemcy z racji mających się odbyć w przyszłym roku igrzysk olimpijskich – zimowych i letnich, chcąc ocieplić na arenie międzynarodowej swój wizerunek, na chwilę poluzowały pruski dryl.... Teraz jedźcie do Polski, do syna i jego rodziny.



Stanisław Morawski z żoną Marią i dziećmi Marią oraz Bogdanem

Maria zamknęła drzwi od pokoju. Po wieczornym pacierzu dzieci szybko zasnęły. Miała teraz czas dla siebie. Lubiła te chwile. Były wytchnieniem po pracowitym dniu i były tylko dla niej. Siadała przy stole. Migotające światło lampy naftowej całkiem znośnie rozświetlało kuchnię. Mogła poczytać gazetę lub książkę, pomodlić się, lub po prostu zwyczajnie, po babsku podumać, pomarzyć lub powspominać.

Dzisiaj z szuflady wzięła kilka listów od teścia z Niemiec. Kolejno brała do ręki koperty. Patrzyła na wykaligrafowane ich nazwisko i adres. Patrzyła na porozrywane grzbiety kopert. Pięknie postawione litery kontrastowały z granatowym stemplem „przesyłka uszkodzona”. Z każdej wyjmowała kartki. Zapełnione były równymi linijkami tekstu, z czytelnym, starannym kaligraficznym pismem. Po raz któryś czytała ich treść. Od jakiegoś czasu wszystkie arkusiki były przekreślone czerwonym atramentem i opatrzone komentarzem po niemiecku: „dziadek plecie bzdury”, „starzec zwariował”, „pisze głupoty”, itp. Zadawała sobie pytanie dlaczego ktoś zaglądał do ich korespondencji. A więc cenzura po tamtej, niemieckiej stronie. W jednym z ostatnich listów pisał, że jak co roku złożył wniosek o paszport. Na dłużej zadumała się nad spostrzeżeniami teścia o mogącej nadejść zawierusze wojennej. Doskonale pamiętała tę, która kilkanaście lat temu się zakończyła. Bieda, głód i niepewność jutra...

Ciche pukanie wyrwało Marię z rozmyślań. Boże, kto to może być? O tej porze? Do ich mieszkania na parterze często kołatali ubodzy bądź żebracy. Żyli bardzo skromnie. Nie prze-

lewało się im. Ale żaden potrzebujący nigdy nie został odprawiony bez najmniejszego wsparcia lub pomocy. Tym razem nie był to biedak, jak zwykle. W drzwiach stał zgarbiony staruszek odziany w lichą jesionkę, z torbą przewieszoną przez ramię. W rękach dzierżył starą, zużytą walizkę i wytarty filcowy kapelusz.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekł matowym, lekko drżącym głosem.

– Na wieki wieków – odpowiedziała Maria.

– Czym mogę wam pomóc? – zapytała.

– Mogę dostać wody? – cicho poprosił – bo umglony i zmęczony jestem okrutnie. Siły już nie te, walizka dosyć ciężka, a i przede mną chyba jeszcze szmat drogi.

– Proszę, wejdźcie do środka. Spocznijcie tu – wskazała na krzesło przy stole – zaraz przygotuję herbatę.

Krząjąc się przy piecu starała zagadnąć o cel podróży. Chciała się też dowiedzieć co nieco o dziwnym przybyśzu. Ten zbywał ją półsłówkami, bo ciągle pojękiwał.

– Co wam jest? – zatrwożyła się Maria.

– Strasznie pieką mnie stopy, a do tego w prawym kolanie mam duży wrzód, który okrutnie ciupie.

– Zdejmijcie trzewiki, obmyjcie nogi, a ja potem najrzę kolano – powiedziała Maria podając kubek z herbatą.

Ze szpondra w kącie zdjęła metalową miskę i postawiła przed staruszką. Z wasek w angelce kwartą nabrała letniej wody. Mężczyzna mozołił się, bo ciężko było się mu schylić. Usiadła więc na rycze, pomogła rozsznurować buty i wyjęła z nich stopy. Szarym mydłem dokładnie je umyła. Kiedy wszystko uprzątnęła poprosiła przybysza, by podciągnął nogawkę. Prawe kolano spowite było w grubym opatrunku. Kiedy Maria odwijiała bandaż stało się coś, co ją na długo zamroziło. Zamarła i zaniemówiła. Z każdej odwijanej warstwy wypadały banknoty reichsmarek i to w samych najwyższych nominałach. Gość jakby odzyskał siły, energicznie podniósł siedzącą przed nim kobietę i mocno przytulił do piersi.

– Ojciec! – wykrzyknął Stanisław – który w tym momencie wrócił z pracy i stanął w drzwiach. Był równie zaskoczony jak jego żona.

Kiedy po kolacji nadal siedzieli w kuchni przy stole, Rafał wprawnym ruchem zebrał banknoty i uformował je w całkiem spory plik. Wyciągnął ręce, by w swoich dłoniach zamknąć drobne dłonie Marii.

– Stasiu pisał mi, że jesteś wielkoduszną i pracowitą kobietą, dobrą żoną oraz matką. Przepraszam, ale chciałem to trochę sprawdzić i poddać cię próbie. Stąd to moje dziwne zachowanie. Teraz wiem, że wszystko to była szczerą prawdą – powiedział Rafał patrząc na zarumienioną twarz synowej. Te pieniądze są dla was, byś nie musiała chodzić po obcych oraz tak ciężko pracować – rzekł i przesunął pieniądze w kierunku Marii. Wystarczy na jakiś czas.

– Dziękujemy tato – ledwo zdołała wykrztusić – serdecznie dziękujemy.

– A ty synu – zwrócił się do Stanisława – weź z walizki te kłamoty i wyrzuć na śmietnik. Długo myślałem jak na granicy wyprowadzić „szwaby” w pole. No i udało się.

Radości było co niemiara. Cieszyli się swoją obecnością. Opowiadali o troskach i zmartwieniach, o planach, a nawet marzeniach. Stanisław spojrzął w okno. Niebo nad miastem zaczynało szarzeć. Przegadali całą noc. Niestety on musiał wziąć tyczkę z kółkiem i pójść do pracy. Musiał pogasić wszystkie latarnie w mieście.

Na podstawie zasłyszanego i zapamiętanego opowiadania Marii Lehman z domu Morawska (Mysia z opowiadania).

Marek Stanisławski

Post scriptum

- Rafał Morawski do Swarzędza już więcej nie przyjechał. Zmarł w 1942 r. i został pochowany we Frankfurcie nad Odrą.
- Maria Morawska z domu Szalewska zmarła w 1944 r. z rozpaczy, w pół roku po utracie syna Bogdana, fałszywie zadenuncjowanego przez kolegę o posiadanie broni i śmiertelnie skatowanego przez niemieckich policjantów.
- Stanisław Morawski do emerytury pracował w Gazowni Miejskiej. Funkcję latarnika przestał pełnić krótko przed II wojną światową, kiedy to w Swarzędzu wprowadzono oświetlenie elektryczne.



WIDOK (os. Kościuszkowców)

Namalować świat, całą paletę barw
Biała strzelista wieżyczka kościoła
Mur okalający go zwisającymi
pnąciami – niby wodna kurtyna
szumiąca, wysmukła brzoza
ze swymi srebrzysto-zielonymi
listkami – połyskującymi w lipcowym
słońcu.
Zapach miododajnych lip.
Trawa ożywiona perlistym deszczem
Jerzyki szybujące wysoko –
zataczając koła nad wieżą kościoła.
(11.07.2021)

Aleksandra Lewandowska

ZNAK

Na ławeczce przysiadł wiatr,
zachichotał, zaszczebiotał
objął całym sobą świat.
Na szczebelkach między ławką –
namalował i odcisnął bruzdy lat
kurzem zatarł znaki czasu.
Powędrował dalej, szybciej – rozmawiając
między ludźmi.
Zaglądając w smutne oczy.
Dając znak, –
że nie warto snuć rozterek, że ten świat
nade wszystko wiele wart.
(6.07.2021)

Aleksandra Lewandowska